



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycyja główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Anstryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidt, kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

SOFONISBA

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

Emanuela Geibla

przełożył z niemieckiego

Józef Grajnert.

OSOBY:

Sofonisba, żona Syfaksa, króla Numidy;
Scypio, naczelny wódz rzymski;
Massynissa, wódz Numidów sprzymierzonych z Rzymianami;
Tamara, kapłanka bogini Astarty;
Leliusz } rzymscy trybunowie wojenni;
Sewer }
Torkwat }
Sextus } rzymscy przywódcy;
Lukanus }
Atarbas }
Aterbal } przywódcy numidyjsey przy Massynissie;
Sarkas }
Methumbal, gubernator miasta Cyrty;
Bostar przywódca z wojska Syfakowego;
Batu, Negr, giermek Syfaksa;
Hiram, pacholek Sofonisby;
Flawiusz, pacholek i powiernik Scypiona.
Rzymscy i Numidyjsey oficerowie i żołnierze. Orszak myśliwych.

(Rzecz dzieje się w dwóch pierwszych aktach na królewskim zamku Cyrty; — w następnych, naprzemian w głównej kwaterze Scypiona i w obozie Numidów).

AKT I.

(Wspaniały przysionek z posągami w królewskim zamku Cyrty. Główne wejście w głębi sceny; po lewej stronie (względem widzów) z boku, szeroka sklepiona brama; naprzeciwko niej po prawej, otwarta w kształcie ołtarza arkada z przerwaną balustradą, przez którą widać skrawek nieba. Z przodu, na lewo, stół poczesny ze starożytnymi naczyniami. Na ścianach trofea).

Scena 1.

METUMBAL, TAMARA (wchodzą głównem wejściem)

METUMBAL

Tędy, przezaena kapłanko! rzedami,
Świetnych posagów wejdz w królewskie progi,
Gdyż z królewskimi przyjmujęm względami,
Dziewicę, którą zdobi srebrnorogi
Półksiężyc, godło łaskawej bogini.
Tu spocząć możesz; tymczasem tam w pieczy
Mają twój orszak i zdejmują rzeczy
Z wielbłądów, któreś wiodła w śród pustyni.
Jaki posiłek mam ci dać w tej chwili?

TAMARA

Proszę cię, tylko daj mi garść daktyli,
I puhar wody,—bo do podniebienia
Język mi przysechł. Powodzią płomienia
Zieje tam słońce, a dążę z świątyni
Wielkiej Astarty, od krańców pustyni.

METUMBAL

Cieżka to podróż.

TAMARA

Przecież cięższa była
Troska, co mnie tu pod wasz dach pędziła.
Chcę skryć świętości mnie tylko zwierzone.

METUMBAL

Więc groza czasu i zgiełk dziki boju,
W tę zaświatową już przenikły stronę?

TAMARA

Zgadłeś. Żyliśmy tam wszyscy w spokoju,
Ufni w Syfaksa miecz i w tę boginię,
U której ognisk mieliśmy siedlisko.
W tem nagle—dziś noc trzecia właśnie płynie—
Zbrodnia nam straszne dała widowisko.
Rój zbuntowanych Negrów do świątynicy
Wpadł w samą północ, pośród nawałnicy.
Mieli nadzieję, jako łup już pewny,
Mienie świątyni unieść, a nas we śnie
Wszystkich wydusić. Lecz Bóg niebios gniewny
Zesłał grom jasny, by jeszcze dość wczesnie
Zdradzić ich zamysł i zbudzić strażników.
Bój trzy godziny huczał bez ustanku,
Aż przecie w pierwszy szary brzask poranku,
Widząc przegraną, tłumy napastników
Pierzchły i znikły w kurzawie pustyni.
Po wschodzie słońca wyjść odwagę miałam.
O! co za widok!... U wejścia świątyni
Stos trupów czarnych, krwawy stos ujrzałem:
Trupy patrzyły jeszcze okiem dzikiem...
Lecz gdzie bóg wojny najlepsze zgromadził
Ofiary, tam przed zdruzgotanym trykiem
Leżał przywódca rzymski,—jawnie zdradził
Ród jego krótki miecz i helm spiżowy,
A przytem zbroja i kształt rzymskiej głowy.
Wówczas odgadłam tajemnicę burzy,
I w jednej chwili, nie czekając dłużej,
Kazałam posag bogini i mienie
Świątyni, wota, dywany, trójnogi
Wielbłądzim grzbietom powierzyć—i w progi
Oto, królewskie śpieszę po schronienie.

METUMBAL

Królowa przyjmie cię dłonią gorącą.

TAMARA

Tak sobie tuszę, lecz nie jak żebrząca,
Tylko jak wroga Rzymian. Sercem czuję,
Że przyjaciółkę swą dotąd miłuję.

METUMBAL

Znasz ją?

TAMARA

Jak pierścień zna ten klejnot drogi,
Z którym jest spojony. Również jak i ona,
Z rodu Barkasa; wpięć osierocona,
W zamku jej ojca Hasdrubala błogi
Żywot dziecięctwa spędziłyśmy społem,
Jak dwie bliźniaczki, dzieląc się zabawą,
Wspólną nauką, posłaniem i stołem,
Aż się za wyższą rozstałyśmy sprawą.
Los ją z Syfaxem na Cyrty tron stary,
Mnie zawiódł w ciche mieszkanie bogini.
Lecz czegoś dłużej zwlekam powitanie!
Idź, proszę, oznajm, że dalsze zamiary
Chcę Sofonisbie conajprędzej zwierzyć.

METUMBAL

Będiesz musiała na chwilę usmierzyć
Chęć niecierpliwa; dziś z blaskiem jutrenki
Pomknęła, strusia ulowić w pustyni—
Zazdrości ptakom pysznej z piór sukienki.

TAMARA

Jak to? Dziś, w porze wojennej to czyni,
Gdy każda chwila grozi burzą?

METUMBAL

Ona

Nie lubi próżno w trwodze czekać. Dla niej
Ta czasa, która świeżo napełniona
Szczęściem lub zgrozą. I któż jej to zgani!
Wszakżeż gotowa jest na wszelką burzę.

TAMARA

Zawsze ta sama: w czasach cichych marzeń
Żywo sięgała po wieńce, po róże;
Niemniej stanowcza w chwili wielkich zdarzeń.
Pomnę, posłowie tu przez mórz głębinę,
Z Hiszpanii sępiem skrzydłem przylecieli,
Wieszcząc upadek Nowej-Kartaginy.
Chwila okropna!—w strachu skamienieli
Książęta Rady, jakby już stolice
Obległ Rzymianin, lud zaległ ulice,
Krzyżąc:—W ofierze niech krew ludzka płynie
U stóp ołtarza Wielkiego Molocha!
Wtem wchodzi ona, księżca pieszczocha,
Bóstwo młodzieży w całej Kartaginie,
I uśmiechnięta, spokoju szczytnego
Głosem mnie pyta: prawdaż to, Tamaro,
Że nagły cios w nas ugodził? Cóż z tego?
Wszak mnie król Syfax ręką swoją starą
Chce darzyć, dobrze!... przez ten związek zgody
Trzykroć nagrodzimy zrzędzone nam szkody.

METUMBAL

I nigdy nie żal jej związku nagłego,
Co dał jej berło. Bo jak oka w głowie
Swej własnej, jako daru niebieskiego
Strzeże ją książę. Lecz niech sama powie
O swoim szczęściu! Słyszę psów szczekanie,
Tętnią po moście konie; polowanie
Chyba skończone.

TAMARA (podchodząc ku balustradzie na prawo)

Tak, to ona! Składnie
Z konia białego zsuwa się i rzuca
Chłopcu szkarłatne cugle. Jakże władnie
Piękną postacią! Zda się, lata skróca,
Czas powstrzymuje,—by być wciąż kwitnącą.

Scena 2.

Cią sami.—Sofonisba,—Hiram,—Orszak myśliwych.

SOFONISBA

Odbierzcie kołczan,—a winem zmyjcie
Mego bieguna! Wart tego! Gorąco
Piekło straszliwie! Struś schwytyany przecie,
I, patrz, Metumbal, pantera uszczwana!
Najdziksza, jaką kiedy puszcza chowa
W skał rozpadlinie.—Są posły od pana?

METUMBAL

Niema, królowol

SOFONISBA

Temu ta perłowa
Zapinka, kto mi pierwszy o przybyciu
Herolda powie!

TAMARA

Sofonisbo droga!

SOFONISBA

Co widzę? Tamar! O, najmiłsza w życiu,
Stokroć mi witaj!—Sławię zrzędzeń boga,
Ze dzisiaj, kiedy wszystkie niebios znaki
W szczęsny gwiazdozbiór, jakby w wieniec jaki
Dla nas się plotą, że mi dziś dozwała
W siostry mej lica wpatrywać się drogie.—
Jakiż przyjazny los cię wiodł tu zdala?

TAMARA

Tą razą wcale nie zrzędzenie błogie
Pełna mię w twój uścisk. Żebrząc gościnności,
Przybywam, ukryć przed wrogiem boginię,
Której nie broni więcej cześć świętości;
Bo już po samą najgłębszą pustynię
Siegają sieci, które w tajemnicy
Jak skrzętny pajak, rzymscy drapieźnicy
Snują złowrogo, by nas splątać niemi.
Już dzikie hordy od Atlasu stoku,
I z mórz piaszczystych lud czarny, zdradnemi
Pochlebstwem szczują, by z tyłu i z boku
Trzymać nas w trwodze. Zdołałam ująć ledwie
Pierwszej powstania burzy.

SOFONISBA

Nie trać męztwa!
W pomyślną chwilę schodzimy się obiedwie.
Będziem święciły razem dzień zwycięstwa.
Wiedz bowiem, że te dumne świata pany
Mamy już w rękę! Wilk krwi cheiwy jeszcze
Nigdy tak silnie w żelaza schwytyany
Nie był, w zębate ich popadły kleszcze,
Jak Syfax pięćkroć wyższą siłą swoją
Zwarł Rzymian. Od błot, po morskie odmęty
Na wąskiej zaspie obsaczeni stoją,
A morza strzegą Kartagów okręty,
W głąb kraju wojska nasze bronią drogi:
Jeden cios tylko, a przepadną wrogi!

TAMARA

Jak mnie twa mowa radośnie zachwyca!
Masz duszę wodza.

SOFONISBA

Czyż mego rodzica
Nie jestem dzieckiem? O, gdybym tam była,
Bóg wojny boskie rozwinąłby loty,
I dłoni mojej nieprzeparła siła,
Zwycięstwa złote schwycałyby sploty
Uzdę z nich czyniąc—zamiast co tu muszę
Niecierpliwością czas nudy zabijać,
Czekając wieści, ponosić katusze
I nie, nie nie móżdż, tylko wieniec zwijąć
Na skroń zwycięzcy!—Uczę nam z przepychem
Każ, Metumbalu, w ogrodzie zastawić
W gaju palmowym bogi nasze sławić
Chcę pełnym, w kwiaty przybranym kielichem.
Lecz nie przywołuj nas wpięć, aż od pana
Przyjdzie wieść w lada chwilę spodziewana.
(Metumbal odchodzi, a za nim Hiram i orszak my-
śliwych).

Scena 3.

Sofonisba.—Tamara.

SOFONISBA

A teraz, siostrze, pójdź jeszcze do łona!
Jak burza ci się wydaje? Ach, obie
Dawnośmy w łube nie padły ramiona.
Teraz—że o swem życiu, mów o sobie!
Wszystko powiedz!

TAMARA

Cóż ci mówić może

Kapłanka, którą wiążą śluby boże?
W przeszłości życie całe się zamyka.
Dziś już bez żadnej nadziei promyka,
Bez żadnych pragnień, co by mnie nęciły,
Chodzę spokojna w powinności kole.
Odkąd Helaska do krwawej mogiły
Skrzyło to straszne nad Woltturnem pole
Wspomnieniem tylko żyje ma istota,
I dawne Bogów dary chowa sobie;
Kwitnie w marzeniach wiosna życia złota....
W sadach Kartagi widzę się przy tobie.

SOFONISBA

Świeciła niegdyś gwiazda Hannibala!
Zwycięstwa wieści i zbliżka i zdala
Jak deszcz kwiecisty zewsząd nam spadały,
Wówczas tryumfów wirem uniesione
Śmiałośmy wszelkim nadziejom ufały;
Wabnie, bogato w obłoczną zasłonę
Złota się przyszłość nam kryła!

TAMARA

Promienne

Czasy to były—szczęśliwej swobody....
Gdzież dziś me szczęście, tak niby niezmiennie,
Gdzie ów marzony twój niegdyś los młody?
Innym go sobie sniłś....

SOFONISBA

Ja?

TAMARA

Tajonych

Myśli nie zdradzisz, lecz ja znam tajniki.
Czym nie widziała lic twych spłomienionych,
A w oczach żaru, gdy piękny szczep dziki,
Gdy Massynissa w dom twego rodzica
Wszedł gościem?

SOFONISBA

Czemu, ach! dziś go przyzywać?

Tak, pięknym, dumnym był. Jeszcze zachwyca
Mą pamięć młodzian,—pocóż mam to skrywać?—
Ów syn pustyni, o smukłej postaci.
Dziwna ku niemu ciągnęła mnie siła:
Z pełnym nadziei ogniem,—jam sądziła,
Że bohatera afrykańskiej braci,
Że w nim już witam zabawcę Kartaginy.
Był to sen piękny, lecz, ach, sen, nie więcej!
Gdyż wrychle jego dzielności sprężyny
Poznałam,—wołą, duchem niemowlęcy,
Nie był to pewny ten wzrok, w który chciałam
Patrzyć, jak w gwiazdę moją biegunową,
Ni ramię, co by świat wsparło,—musiałam
Przyznać to, spełnić czasę piołunową,
I przecieź gorzkim nie strucię się zawodem,
A żem go wtedy nie odepchła srodze,
Chcąc zapanować nad tym duchem młodym,
To mi do tego podawała wodze
Tylko ma dusza, litość współczująca.
Chciałam zapobiedz, by szlachetna siła,
Co w nim mieszkła, jak gwiazda błazna
W bezcelnym ogniu marnie się nie stliła.
Próżne starania! O, Tamaro droga!
Ty wiesz—on przeszedł do obozu wroga!...

TAMARA

Zrobił to z gniewu, gdy po ojca zgonie
Lud jego nie chcąc mieć na swoim tronie
Młodzieńca, ale silnego sąsiada,
Syfaksa wybrał.

SOFONISBA

Często Bóg układa

Los nasz na opak. Com wówczas cierpiała,
Nie pytaj! Wszystkom to już pokonała;
W zgodzie jest ze mną ciche serce moje
I dziś, małżonka, spokojnie się stroję
W ten pierścień króla, bo to jest obrońca
Ludu mego. I nowy blask słońca
Wszedł na me niebo—świeci on i grzeje.

TAMARA

O, niech to meztwo dumne wciąż jaśnieje
W twej duszy, siostró!

SOFONISBA

Nie troszcz się! Zaiste,

Wielu się roszezeń rzekłam, lecz sercową
Stratę nagradza mi szczęście przeczyste,
Los to ogromny—pozostać królową!...
Z dłonią na krosnach czasu i zrządzenia
Obraz wyszywam na czynów osnowie,
W ich barwy wplatom cel mego istnienia.
I gdy podniosłej mej pracy bogowie
Sprzyjają, roszezeń tych zapomnieć mogę,
Co niegdyś mrocznie wchodziły mi w drogę.

(Po krótkiej przerwie, głosem stłumionym:)

Tylko, Tamaro, w noc wiosenną czasem,
Gdy księżyc błyszczy wzbity nad Atlasem,
Gdy drżą miłością jaśminowe gaje
A ryk lwa zdala—zasnąć mi nie daje,
Wtedy zstępuje wśród samotnej głuszy
Niepokonana tęsknota do duszy;
Wtedy mi tak jest, jak gdyby się jeszcze
Los mój nie spełnił.—jakieś głosy wieszczę
Szepeją mi, że się serca tego żądze
Raz całkiem ziszczą!—Lecz patrz: ja tak błędzę
Tylko w cień nocny—gdy się jutrznia wzbije,
Królowa Cytry sny swe rosą myje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O POWIEŚCI TEGOCZESNEJ.

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Dokończenie)

Gdzież są owi bohaterowie, którzy mają być „ogniskiem prerabiającem działania czasu i społeczeństwa?” aby z nich odtworzyć obraz zatraconych prawd życiowych i poezji kryjącej się w skorupie rzeczywistości?

Bohater jednej najwybitniejszej w ostatnich czasach powieści, ma być, według autora, tylko dlatego większą potęgą, że mimo ubóstwa swego, jest człowiekiem wytwornym i olśniewa ogląda.

Odstąpiono nawet od zwykłego lekarstwa dla chorych bohaterów. Dawniej uzdrawiano bohatera często wynikłością jego własnych zdroźności. Zły czyn mieścił już w sobie przyszłą pomstę, która tylko dojrzeć potrzebowała, by winnego ukarać. W dzisiejszej powieści, a nawet w dramacie, używa się czasem innego środka ukarania i nawrócenia winnych. Oto przy mecie złego pada pod nogi bohaterów przypadkiem jakaś niewinna ofiara. Na widok tej wcale niewinnej ofiary, doznaje bohater pewnego wzmacniającego wstrząśnienia nerwów i od przypadkowego trupa wraca sam zdrow i cały—do obowiązków.

Przypomina to owe średniowieczne dwory niemieckich panów, gdzie był zawsze dla ukojenia panicza tak zwany „Prügeljunge“!

Zachodzi teraz pytanie, czy powieść dzisiejsza francuzka jest wiernym odbiciem społeczeństwa, czy też tylko tradycyjną karykaturą? Czy społeczeństwo jest lepszym od powieści, czy powieść lepszą od społeczeństwa? Czy powieść postępuje razem ze społeczeństwem? Czy wyprzedza je, lub zostaje w tyle?

Pytania to trudne do rozwiązania. Jakkolwiek

możnaby przypuścić, że powieść dzisiejsza francuzka, głównie czerpie swoje studia w życiu stolicy, gdzie prosta walka biednych o byt z jednej strony, a z drugiej przesyta bogatych wyradza podobne moralne potworności; — ostatnie jednak kłęski narodu, dla Europy tak niespodziane, pozwalają wnosić, że w całym społeczeństwie zagnieżdżył się ów ferment rozkładu, który wyraz swój znalazł w powieści.

I tak: gdy właśnie jedni w tej denerwującej, wszelkich wyższych zasad moralnych pozbawionej literaturze nadobnej, prawdziwą przyczynę owych niespodziewanych kłesk narodu widzą, — inni z równym prawem mogliby ten naród dzisiaj oskarżać, że tylko taką a nie inną powieść z siebie wydać może.

W ostatnich czasach usiłowano wyzyskujące źródło powieści czemś nowem zapełnić, co działać jeszcze miało na nerwy stępione. Zaczęto uprawiać powieść kryminalną.

Dotąd zazwyczaj zatrzymywała się powieść przed paragrafami karnego kodeksu i przed drzwiami więzienia. Zbrodniarz zajmował ją o tyle, o ile mogła na nim robić studia psychologiczne, lub o ile był cieniem dla uwydatnienia światła. Oddawszy go pachołkowi sprawiedliwości lub oprawcy, odwracała się od niego.

Dzisiejsza kryminalna powieść zaczyna od tego, na czem dawniejsza kończyła. Już w pierwszym rozdziale ma zbrodniarza, za którym pachołek sprawiedliwości goni. Cały więc interes powieści na tem zależy, że zbrodniarz się wymyka, a agent policyjny za nim tropi. Zbieg nadzwyczajnych, cudownych prawie okoliczności ukrywa winowajcę, a tenże sam zbieg dopomaga znowu agentowi do wynalezienia tropu.

Powieść podobna, chociażby z talentem pisana, nie ma żadnej wyższej wartości i obliczona jest tylko na podniesienie ciekawości, po zaspokojeniu której nic a nic nie zostaje w czytelniku. Rozszerzana u nas taka powieść w oryginale i tłumaczeniu, dowodzi tylko bardzo niskiego poziomu kryterów. W najlepszym razie talent autora, może tylko przyczynić się do wychowania sprytnych policyjantów, ale oraz i sprytniejszych jeszcze zbrodniarzy.

Pokrewną temu kierunkowi jest powieść uprawiana obecnie, przez jeden z najpotężniejszych talentów dzisiejszej Francji. Jest to powieść dążąca do rehabilitacji zbrodniarza. Autor nie goni tutaj co noc z policyjantem za zbrodniarzem, ale ma go już w ręku, a nawet poznaje się z nim czasem po odsiedziaonej już karze.

Taki zbrodniarz-bohater ma wtedy misję dowieść całemu światu, że ustawa, która go osądziła, jest w gruncie niesprawiedliwą, że społeczeństwo przez swoje złe instytucje jest właściwie winowajcą, a on tylko prostą ofiarą, ułomnością tych instytucji. W najgorszym razie ten zbrodniarz-bohater, jest jeszcze bielszym od tych, którzy codziennie bieliznę zmieniają i na wyżynach społeczeństwa się rozpiekają, gdzie są zbrodnie gorsze od przymusowej zbrodni bohatera, z tą tylko różnicą, że na te zbrodnie niema paragrafów w kodeksie, bo ci ukryci zbrodniarze są sami prawodawcami.

Czy taka powieść zmusi społeczeństwo do zmiany ustaw, czy wychowa zbrodniarzy-bohaterów, którzy w pożyczonym od autora kostiumie rzucą się na nieposłuszne społeczeństwo z ogniem i naftą? Na to odpowiedź krótka. Dość jest samo pytanie postawione.

Przejdźmy do powieści niemieckiej.

Powieść niemiecka przedstawia nam dziwnie zgodny obraz z wolnym pochodem narodu. Jest ona lojalną i ma wielki szacunek dla ustaw krajowych i przepisów policyjnych. Nigdy nie była fermentem politycznym, nie parła do gwałtownego przełomu społeczeństwa. Poruszała się skromnie lecz swobodnie w obrębie istniejącego porządku, zostawiając inicjatywę ustawodawcom, a nadzór nad złem społecznym ministrowi policyi i sprawiedliwości. Główne zarysy budowy społecznej przyjmowała z uległością lojalnego poddanego, kontentując się tylko wycienianiem danych już zarysów. Nigdy nie miała zachcianki farbowania ustroju państwa, a przyjąwszy instytucję małżeństwa jako potrzebę i fakt dokonany, nie zna najczęściej, a nawet nie przypuszcza wiarołomstwa. Miłość w niemieckiej powieści jest prostą, naturalną, czasami

sentymalną i sielankową. Tu i ówdzie przywieszona się do tej miłości trochę filozofii transcendentalnej — bohaterka czasem zarywa o sporne kwestyje między Kantem a Heglem, ale zaraz dla zrównoważenia swojej istoty kobiecej odchodzi do kuchni, lub bierze się do pończoski.

Podczas gdy francuzka powieść staje czasem na czele ochotników doraźnych przemian społecznych i sama zapala pochodnię pożaru—powieść niemiecka czeka potulnie rozkazów z biur ministerstwa, aby to lub owo hasło wzięść za temat.

Jeżeli w ogóle w każdej literaturze nadobnej mniej więcej odbijają się przyszele kierunki i pragnienia obecne narodu lub państwa; jeżeli czasem taż literatura same te kierunki i pragnienia wywołuje: w niemieckiej literaturze nadobnej niema prawie tego fermentu przyszłości, bo ona skrzętnie przerabia tylko to, co obecne i co nie wykracza po za granice istniejącego porządku.

I tak naprzykład przed wojną niemiecko-francuzką w całej literaturze niema ani śladu, aby Wielka Germania zatęskniła kiedy do utraconej córy swojej Alzacji. Gdy w istocie w narodzie to uczucie istniało, to niepodobna, aby nie odbiło się w literaturze nadobnej. Smutek, żal, tęsknota za utraconą ziemią, za oderwaną od wspólnej rodziny bracią jest tak pięknym tematem do powieści, tyle mieści w sobie skarbów poezji, że niepodobna, aby ta skarga lub tęsknota nie odezwała donośnym głosem z piersi niemieckiego autora. Żadnego szerszego utworu w tym kierunku niema. To, na co Germania się tylko zdobyła jest—*Wacht am Rhein!* Ale to „straż“ tylko a nie więcej. Germania lęka się tylko, aby nieprzyjaciel Renu nie przekroczył. O zaborze Alzacji czy raczej o rewindykacji ani słowa! Nawet gdy już bataliony niemieckie pod Paryżem stały, jeszcze milezała literatura nadobna. Dopiero po ratyfikacji pokoju, gdy wszechwładny minister i nowy cesarz narodowi zdobywcę oznajmili, posypały się gradem patryotyczne powieści, w których Alzacya przez długie wieki ukrywa swoją tęsknotę do Wielkiej Germanii i z rozczuleniem Prusaków ścisła! W Wogezach wyszukuje teraz powieść bohaterów, w których z dziada na wnuka przechodzą niemieckie tradycje i usiłowanie powrócenia na łono wspólnej ojczyzny!

Inicytywę do takiego kierunku dał dopiero pokój frankfurcki—pierwej nie byłby on zgodny z istniejącym porządkiem rzeczy.

Cokolwiek bądź spokój ten, ta karność nadobnej literatury niemieckiej ma swoją dobrą stronę. Nie przyczynia się ona wprawdzie do ruchu narodu, ale przerabia skrzętnie i z mrowczą wytrwałością w danej sytuacji najdrobniejsze sprawy społeczne. Jest najczęściej charakteru dydaktycznego, systematycznego w przyzwolonych warunkach rozwija życie, nie szuka zagadek społecznych, jakichby rozwiązać nie umiała. Nie wyprzedza nigdy społeczeństwa, a jeżeli czasem trafią dla niego myśl rzuci, to tej myśli nie stwarza, ale ją formułuje tylko, bo ona już przedtem była. Za przykład posłużyć może głósna niedawno powieść, która już kilkunastu wydań dożyła, a której główną myślą jest: „aby Niemcy na wschodniej swojej granicy zaboru skutecznie! Działo się to już przed powieścią Freitaga—a „Soll und Haben“ dało tylko obraz tych zaborów.

Powieść niemiecka wybujała zrazu bardzo wysoko w tak zwanych „rycerskich“ romansach. Skłonna do oderwanych marzeń, fantazyja niemiecka miała tu szerokie pole. Nie potrzeba było życia studyować pisząc taki romans — dosyć było palić fajkę w izbie na poddaszu i pisać.

Po upadku tej powieści widzimy znaczną przerwę w literaturze. Powoli pojawia się powieść sumienne obrobiona, opierająca się więcej o prawdy życiowe, ale tak rozumowaniem filozoficznym obciążona, że niepodobna przeczytać jej od jednego zamachu. Druga powieść obraca się znowu w świecie starożytnym, najczęściej greckim. Jest w tej powieści nadzwyczaj wiele erudycyi, jest archeologia grecka, ale jest i zimno grobu i woń stęchlizny!

W ostatnich czasach nastąpiła reakcja. Z dziedziny filozofii i archeologii przetrzuciono się w przeciwną stronę. Zaczęto pisać „Dorfgeschichten“. Literatura zyskała na tem, gdyż z świata umarłych i wyżyn empirejskich zbliżono się do życia i do rzeczywistości. Wprawdzie niektóre te Dorfgeschichten wyglądają na sielankę, ale widzimy już zaw-

sze poza tkaczem z gór Turyngii tło rzeczywiste, widzimy naturę i grupę ludzi żyjących.

Po „Dorfgeschichten“ powoli wyłoniła się powieść mieszczańska, która dzisiaj najwięcej jest uprawiana. Na tem polu spotyka się autor niemiecki z prawdą życiową, z własnym doświadczeniem. Tu żyje i patrzy na to, co go otacza. Jest nawet dosyć realnym, choć co czasem fantazja unosi do kreacji bez krwi i ciała.

Stan miejski dostarcza dzisiejszej powieści niemieckiej najmniej tematów. Postacie te widzimy starannie i z prawdą odrysowane, należycie aż do drobnostek wycieniowane. Niema zawodu w tym stanie, niema nawet żadnej lepszej karykatury, którejby gościnnie nie przyjęła dzisiejsza powieść.

Postacie te żyją najczęściej bardzo spokojnie, a zawsze przyzwoicie. Nie miewają żadnych gwałtownych kontorsji, a cała walka ich życia zależy często na bardzo powszednim nieporozumieniu losu, lub na przekonaniu strony złej, że ta niema słuszności. Gra namiętności jest bardzo umiarkowana. Instytucja małżeństwa rzadko turbowana przez pokusę, a jeżeli zdarzy się jaka pokusa, to się ją odpędza—rozumowaniem.

W powieść tę wchodzi najdrobniejsze szczegóły życia, a autor umie z nich taki sam powabny obrazek namalować, jakie malują jego bracia-artycyści, którzy naprzykład z przestachu koguta lub cielecia nadobną, a nawet ciekawą scenę stworzyć potrafią.

Kobiety półświata nie umie powieść niemiecka oddać w wytwornym rysunku, jak to czyni powieść francuzka. Mimo wszelkich kunsztownych akcesoriów widać pospolitość uliczną.

Walka niemieckiego bohatera z taką pospolitością nie jest trudną, a instytucja małżeństwa niema z tego powodu żadnych perypetyi, bo wszelkie możliwe nieporozumienia załatwiają się z oszczędnością uderzeń serca i wydatków domowych.

Wyższego towarzystwa i całego jego świata nie zna dobrze powieść niemiecka. Przyczyną tego są utrudnione stosunki towarzyskie. Każda prawie powieść ma jedne i te same szablony, według których maluje postacie arystokratyczne.

Ostatnie wojny dały pochoy do powieści politycznej. Były polityczny agent króla hanowerskiego przerobił swe materyały służbowe na powieść, która w wysokim stopniu całe Niemcy zajęła. Nie chodzi tam bardzo w tej powieści o losy dwojga kochanków, które zakrawają na awanturki burszowskie ale chodzi — „o berła i korony“. Tak w tej, jak i w drugiej następnej powieści politycznej, zanadto radca królewski chciał być realistycznym i wszystko i wszystkich po nazwisku nazywa. Jest tam żywy Napoleon, jest cesarz austriacki, jest Beust i panna Galmeier. Napoleon w swoim gabinecie kręci wasy, cesarz austriacki patrzy z Burgu na niebo pokryte gwiazdami i marzy — a sławna „Piękna Helena“ wiedeńska przychodzi do Beusta, aby jej dał kogo za męża, chociażby lejtnanta, bo tym sposobem rozwiązać będzie mogła kontrakt z nienawistnym dyrektorem teatru!

Liebig powiedział, że z pomiędzy dwóch, w równiej liczbie stojących przeciw sobie armii ta zwycięży, która w pokarmie swoim więcej azotu zjada.

Gdyby to do literatury zastosować, to możnaby powiedzieć, że nadobna literatura niemiecka mieści w sobie wiele pożywnego azotu, który starannie muskuły narodu zasila, ale niema tego fermentu francuzkiego, który działa na nerwy i obieg krwi przyspiesza.

Powieść niemiecka jest lojalna i karna, nie dba o granice instytucji społecznych, bo granicą dla niej jest prawie zawsze tylko kółko rodzinne, lub kilku domów ulicy miejskiej. I tutaj nawet nie burzy, nie roztrąca, ale uczy i moralizuje jak stary pedagog. A jeżeli podejmie czasem jaki temat społeczny, to tak z nim wysoko odleci, że tylko doktor filozofii i prokurator mogą ją pojąć. Zresztą nie zna ona tak zwanych „ofiar społeczeństwa“ nie bierze w opiekę kobiety niemoralnej i nigdy jej nie rozgrzesza—nie uznaje konieczności występku z powodu inaczej ustrojonych nerwów — więzienie uważa za instytucję dobroczynną, a złodzieja i oszusta za prawowitego jego mieszkańca. Najwyżej w hierarchii społecznej postawiona postać powieściowa jest najczęściej charakterem dodatnim i spełnia pewną misję opatrnościową.

Co do zewnętrznej formy—to powieść francuzka jest wytworna, ma ruchy swobodne, salonowe; niemiecka podobna jest do człowieka, który ma ubiór z drogiej materyi, nie bardzo wykwiintnie przykrojony, ale za to starannie uszyty.

Powieść francuzka przedstawia magazyn, w którym wszystko jest na wystawie — niemiecka jest składem towarów ukrytych w niepokaznych, wewnętrznych komnatach.

Na tem musimy zakończyć rzecz o powieści niemieckiej, a pośpieszyć do angielskiej.

Powieść angielska sprawia miłe, orzeźwiający wrazenie. Przechodziła ona różne cele, zawsze poważne koleje losu. W stosunku do francuzkiej i niemieckiej powieści, zajmuje stanowisko pośrednie. Nie popycha ona gwałtownie naprzód, nie rzuca się z toporem w ręku na ciasne granice instytucji społecznych i państwowych jak francuzka; ale też nie pozostaje w tyle przy robotach państwa i społeczeństwa, jak to czasem robi powieść niemiecka. Bierze ona udział we wszystkim co się dzieje w narodzie, a udział jej jest tem skuteczniejszy, z im mniejszym hałasem się odbywa.

Pod tym względem dziwne zjawisko przedstawia nam powieść angielska.

Wiadomą jest rzeczą, że żadna wybitniejsza idea społeczna, żadna reforma państwowa nie wystrzeliwa odrazu cała z pod ziemi. Wprzód słyszymy jej poród, słyszymy szmer, jaki sprawia jej powstawanie. Otóż w całym ustroju troistego królestwa nie odbyła się ani jedna reforma, ani jedna zmiana jakiegokolwiek ustawy, aby już długo przedtem nie było słyhać w nadobnej literaturze angielskiej owego szmeru, który zapowiadał tę reformę. Literatura ta tak się zrosła z rozwojem życia narodowego, że jak pojedynczy człowiek tegoż narodu poczuwała się do obowiązku głosowania za tym lub owym bilem, podpisywania petycji mających się wnieść do parlamentu.

Ma ona z jednej strony karność niemieckiej literatury, ale jest zawistną o konstytucyjne prerogatywy i w walce o „Magna charta“ mogłaby nawet dojść do większego szału niżeli powieść francuzka.

Okiem argusowem wysledza ona luki w ustawach i urzędzeniach społecznych i spokojnie daje inicjatywę do reform. Nie uderza nigdy na pobudkę, nie wzniesca pożaru zamiast dać sygnał, owszem ostrzega i przekonywa.

Po kilku gwałtownych, ale zarazem i najznakomitszych krytykach społeczeństwa swego, rozlała się powieść angielska szerokiem korytem. Napisanie powieści należy tam prawie do inauguracji pewnej pozycji społecznej. Każdy poczuwa się do obowiązku złożenia w powieści wiązki swoich doświadczeń i przekonań. Mianowicie w warstwach bogatszych należy napisanie powieści prawie do obowiązku. Piszą więc wszyscy, którzy tylko chęć mają do pisania, piszą członkowie pierwszej izby i nawet ministrowie, którzy nie wiele mają czasu. Przyczynia się to bardzo do rozjaśnienia pojedynczych rysów społeczeństwa, bo każdy pisze najczęściej o tem, co sam widział i uczył. Powieść naprzykład, jaką minister D'Israeli napisał, rzuca wyborne światło na arystokrację angielską i wytyka jej błędy, za którymi pójść może rozkład tej dzielnej niegdyś falang!

W ostatnich czasach znacznie wzrosła produkcja powieści. Wzięły się do niej kobiety, najczęściej nauczycielki, pomiędzy którymi wyszczególniły się starannie wychowane, lecz bezposadne córki pastarów. Obrawszy sobie literacki zawód życia stworzyły one osobny prawie dział literatury nadobnej, który z powodu jego źródła i tendencji nazwano „literaturą guwernantek“. Powieści te są najczęściej pedagogiczne i dydaktyczne. Wychowują one i uczą młodsze pokolenie i zaprawione są radami moralnymi. Nie szarpia po nerwach, nie przyspieszają oddechu, często nawet nie są bardzo ciekawe, a szary ich koloryt przypomina nam spuszczone w ziemię oczy szarytki—ale mieszczą pokarm zdrowy dla tego, kto takim pokarmem zadowolili się może.

Powieść dzisiejsza angielska, po zgaśnięciu słońc swoich, niema żadnej wybitniejszej gwiazdy — ale za to wszystkie te gwiazdy razem świecą jasno i rozwidniają widnokrąg społeczeństwa. Jest tam wiele niepospolitych talentów, ale oślniewającego geniuszu niema.

Główną zasługą dzisiejszej angielskiej powieści

jest to, że mimo wiejącego dzisiaj zewsząd ducha realizmu umiała ona zatrzymać swój dawny zdrowy idealizm. Nie gardzi ona nigdy tem, co dzisiejszy realizm rzeczywiście dobrego dla sztuki zdobył, ale nie daje też czytelnikowi takich rzeczy, których jedyną zasługą jest to, że istnieją. Istnienie w rzeczywistości nie jest jeszcze paszportem do świątyni sztuki, chociażby tam z takim sprytem i talentem wprowadzać umiano, z jakim to czyniła sztuka flamandzka.

Realny idealizm angielskiej powieści różni się o wiele od niemieckiego sielankowo-absolutnego idealizmu, który niema rzeczywistego gruntu. W powieści angielskiej najniższe zatrudnienie kobiety pokrywa jakiś urok poezji, światło artystyczne nadaje jej postaci pewną malowniczość, jakiejby nie miała może przy świetle powszedniego realizmu. Powieść dzisiejsza angielska nie sięga zbyt wysoko po temat—bierze go z najbliższego otoczenia i robi z niego dzieło prawdziwie artystyczne z tendencją zawsze szlachetną.

Te jej przymioty sprawiają, że inne narody tłumaczą ją i przyswajają sobie—pomijając prawie zupełnie powieść francuzką.

Po tych trzech obszernych światach nadobnej literatury europejskiej, jakże wyglądać będzie nasz mały, swojski światek?

Powieść polska ma bardzo utrudnione warunki żywota. W społeczeństwie naszym niema ani gwałtownych walk społecznych, ani dążeń namiętnych na nowe drogi żywota, jakie się gdzieindziej zarysowują. W takich warunkach nie może ono brać inicjatywy w nowych ideach i reformach społecznych, może się tylko ogrzewać przy słońcu innych narodów. Powieści polskiej odpadają więc wszelkie korzyści, jakie daje społeczeństwo wyrabiające się o własnych siłach, odpada żywy koloryt i malownicze grupowanie, jakiego dostarczają walki społeczne i państwowe. Ograniczona na cichy, powszedni prawie żywot społeczeństwa, powieść polska podobna jest do spokojnego potoku, na którym nie może być ani spadów gwałtownych, ani malowniczo rzuconych mostków, łączących z sobą dzikie urwiska. Jako dziecko cichej, skupionej społeczności, może powieść nasza tylko to odtwarzać, co w tej społeczności rzeczywiście tętni. A to wszystko jest takie ciche, skromne, nie ma ani barw jaskrawych, ani przejść nagłych. Stosunki tutaj nie płaczą się tak dziwnie, jest gdzieindziej, gdzie ruchy są gwałtowniejsze, gdzie walka jest gorętsza. Najwięcej jeszcze rozwinęło się życia po dworach wiejskich i do tych dworów dzisiaj napowrót uciekło. To też tam szuka go najczęściej powieść polska — a pałace możnych sterczą tylko wśród niej jako cienie ruin omszałych. Miasta nie wyrobiły jeszcze sobie samoistnego życia — bo to co się z miejskiej sfery nad poziom podniesie, zbiega do szlachty, tak samo jak znowu, to co się ze szlachty wylania, zbiega do arystokracji, aby tam utonąć. Ruch ten społeczny stanowi prawie cały watek naszej powieści. Powieść ludowa, jeżeli nie chce być sielanką, nie ma dzisiaj jeszcze potrzebnych warunków. Ciemny, nieświadomy siebie materyał może być czasem przyborem, ale sam jeden nie stworzy krajobrazu.

Powieść polska, jak widzimy, ma bardzo mało swojskiego materyału.

Najwyższą zasługą powieści polskiej jest to, jeżeli powieść ta umie poprzestać na skromnym swojskim materyale, jeżeli odpiera pokusę towaru importowanego. W takim razie nie będzie ona oślniewać jaskrawym kolorytem, nie będzie porywać i za nerwy targać, nie zapożyczy sobie u francuzkiego romansu scen efektownych i nowej, dwuznacznej moralności,—ale poprowadzi nas bez gorączkowych wzruszeń po swojskich łąkach i polach i pokaże nam rosnące tam dla nas kwiatki i czekającą na zagonie pracę.

Zaiste wielkiej oszczędności i pracy trzeba, aby z tak skromnego materyału stworzyć obraz artystyczny, aby tych drobnych okruszyn życia społecznego nie zmarnować.

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Kilka rysów charakteru męskiego. — Olejkarze czyli Węgrzy. — Dziady żebracze. — Gerwazy Palestrant. — Ewunia. — Pan Wojciech. — Ucieczka Ewuni. — Dziad siostr Kogut.

W klasztorze Bernardynów zdarzenie to wywołało podziwienie ogólne wszystkich zakonników i stało się wątkiem do długich pogawędek, a stary Zakrystyan, pierwszy raz jak przywdział habit, upił się jak Bela, nie wiadomo czy z rozpacz, czy z radości.

Nie pierwszy to przykład szukania ratunku w rozpacz na stopniach ołtarza, a pociechy i spokoju w cichej celi zakonnej. Pocieszającym to jest w obrazie naszej społeczności, tak dawnych wieków jak i naszego stulecia, że nie występki, ani proste zbrodnie, ale niedola doznana, utrata najmilszych istot w życiu, a najczęściej prawdziwa i czysta miłość, czy niewieściana wzajemnością, czy wzajemna, ale niepodobna do połączenia się ślubem kochających, były powodem, że najhartowniejsi mężowie, dzielnego charakteru, chronili się w mury klasztorne.

Tu zwrócić musimy uwagę, że jeżeli Polki Bóg obdarzył uroczym wdziękiem, powabem i piękną nieporównaną, to męskiemu pokoleniu dał odpowiednie przymioty: mniej wprawdzie urody, ale serce zarówno szlachetne, jak uczucia zacne i wzniosłe.

Dla tego mężczyzna i w tym okresie, zachował szacunek aż do ubóstwienia swej kochanki czy małżonki; pod jej opieką, jak pod białym skrzydłem anioła stróża, z uśmiechem najciernistą drogę przebywał pielgrzymki ziemskiej; nie wstydził się modlitwy, ani uderzenia Bogu czołem.

Porywy gorące do ofiary i poświęcenia leżały w charakterze rodzinnym. Mamy liczne przykłady, że gdy wybrana bogdanka, zmuszona została do poświęcenia innego, opuszczony i smutny wielbiciel, albo uciekał w ponure mury klasztorne, albo w bezżeństwie pozostawszy, otaczając ją zawsze cześcią swoją i miłością, obierał za patronkę jakby świętą, myśli swoich. Jeżeli zaś dobrowolnie dane słowo zlamano, co było rzadkiem i osobliwym zjawiskiem, uwiedziona urokiem imienia nowego zalotnika, albo olśniona blaskiem bogactwa; gardząc nią w milczeniu, bo nie mszczono się głośną obmową kobiety, uważając to za podłość ze strony mężczyzny, po kilku latach tajonej zgrzyoty, czasem przywdziewał habit mnicha, jako laik, niekiedy brał nawet święcenia kapłańskie, i jako sługa wierny stopni ołtarza zrywał na zawsze stosunki ze światem — albo też znalazłszy dobrego gniazda dziewczę, z nią wstępował na ślubny kobierzec. Wtedy miła a przywiązana żona, wprędce goiła rozjątrzone rany serca i otwierała mu wrota do prawdziwego szczęścia, gdy łącznie zasiała z nim przy domowym ognisku.

Jak się żaden z mężczyzn nie wstydził modlić, tak nie rumienił się rzewliwymi łzami, które silne wzruszenia serca wyciskało przez oczy. Zналиśmy mężów ukutych jak ze stali, śmiałych do nieustraszonosci, którzy w domowych progach płakali nie raz jak bobry, czy to z rzewnego uczucia, czy z wielkiej boleści, albo radości; a bywali to ludzie w sile wieku, lub siwi jak gołębie.

Przyjaciołom swym lub krewnym, gdy który habit zakonny przywdział, żadnej wymówki nie robili, otaczali ich zawsze dawną przyjaźnią i szacunkiem, gdy miłość zawiedziona w pięknych i uroczych nadziejach, wpędziła ich do celi klasztornej.

Kiedy który przyjął obowiązki Kwestarza, szczególnie klasztor mający takiego braciśzka, bo znajomi, przyjaciele i krewniacy hojnie opatrywali za jego pośrednictwem klasztor we wszystkie potrzeby, nawet ofiar pieniężnych i to hojnych, nie szczędzono.

Oprócz kwestarzy, których przybycie do dworu

ziemiańskiego nadawało mu nowe życie, snuły się gęsto i inne postacie, obudzające podobne zajęcia, a silne do tych dworów przywiązane.

Na pierwszym miejscu postawić należy tak zwanych *Węgrów*, czyli inaczej *Olejkarzy*, którzy dzwigając w wielkim pudle zbiór rozmaitych towarów, obchodzili od dworu do dworu.

Oprócz sławnej *Dryakwi Weneckiej*, która jako najcudowniejsze lekarstwo miało leczyć wszystkie bez wyjątku choroby ludzkie, obnosili oni rozmaite olejki, już do namaszczania włosów, dla utrzymania ich mowy, połysku i miękkości, obmywania oblicza dla utrzymania go w świeżości i czerstwości, do odżywiania sił i zdrowia żołądka, mieli nadto towary rozmaitego rodzaju wyłącznie dla płci pięknej służące.

Jedwabne materye, chustki, wstążki różnokolorowe, obok obrazków świętych, różańców, szkaplerzy u grobu Zbawiciela poświęconych, szpilek, igieł i nici wszelkiego gatunku, wszystko to było w skrzynce Węgra, a właściwie rodowitego *Słowaka*, którego mowa tak zrozumiała i zbliżona do naszego języka.

Postać ta tak się zpopularyzowała w całym kraju, że weszła do *Szopek*, które przez całe zapusty, aż do *Ostatniego wtorku*, po wszystkich rodzinach tak są dla drobnej dziatwy upragnione.

Dwór niewieści za przybyciem takiego *Węgra*, w niezwykłym bywał ożywieniu, bo towar był potrzebny zarówno do stroju, jak dla utrzymania płci pięknej, a nawet dla samego zdrowia.

Pani domu do swej *Apteczki* zakupywała *Dryakiew* i olejki, jej córki i krewniaczki, materye jedwabne, chustki i wstążki, a panny służebne i z czeladnej izby dziewczęta, obrazki święte, ażeby je przyklejać na ścianie ponad łóżkiem, lub wewnątrz skrzyni, albo kuferka, na otwierającym się wieku, gdzie chowały całe swoje mienie w bieliźnie, przystroju i przyodziewku.

Po za olejkarzami, nieobojętną postacią był *Dziad żebraczy*.

Ówczesne dziady, żadnego nie mieli podobieństwa i nie wspólnego z dzisiejszemi nędzarzami.

Na przestrzeni przynajmniej mili kwadratowej, miał taki dziad swoją okolicę, którą obejmował jakby w doczesną dzierżawę, a do niej zaglądać innemu nie było wolno; gdy przemowa do zuchwałego przybłądy nie skutkowała, siła pięści dopomagała do wygnania z granicy oznaczonej.

Dziad taki, prawie zawsze wsile wieku, bo kaleki i starcy niedołężni tylko pod kościołami na odpustach i jarmarkach mieli sposobność do żebrania, obchodził dwory ziemiańskie i wioski. Uzbrojony w gruby kij mocny i okuty, ze skórą jeża na końcu, przeciw zjadłości psów domowych, i w długi bicz dla lepszej pomocy ¹⁾.

U pasa wisiała żółwia skorupa do zbierania grosza: za duże sakwy przewieszzone przez oba ramiona zbierał chleb, mięsiwa i wędlinę. Za te dary przynosił najświeższe nowiny do chat i dworów, a przytem śpiewał pieśni pobożne i światowe dumy; te ostatnie w gronie tylko poufałem. Szczęśliwie jakie z dziadowskich pieśni w pamięci kobiet wiejskich pozostały, wskazują, że to był zupełnie inny rodzaj od obecnie śpiewanych. Treścią ich były cuda przy licznych obrazach Boga Rodzicy po całym kraju wielbionych jak i Chrystusa Pana; opisy strasznych mąk piekielnych, cierpień Łazarza, pojawienie się *Anti-Christa* i skończenie świata.

Dziady te byli także najwierniejszymi posłańcami dla zakochanych; nikt pewniej i zręcznie, nie przeniósł listu miłosnego, nikt troskliwiej nie zebrał wiadomości o każdej osobie do najdrobniejszych szczegółów. Najgłębszą tajemnicę potrafili wybać i odkryć, uprzedzić niebezpieczeństwo i dać zbawienną pomoc zagrożonej stronie.

Temi środkami zdobyli sobie poważne znaczenie i z upragnieniem wszędzie byli witani i podejmowani; nie żalowano nawet hojnych darów dla przebiegłego i odważnego *dziada*.

Uczył on dziewczęta wiejskie, jak i panny dworskie, nietylko wielu pieśni im nieznanych, ale i cu-

downych powieści, które przy kądzieli *prządki* w zimowych wieczorach powtarzały.

Wędrowka tych żebraków była ciągła latem i zimą, czasem tylko przerywana, przez zbyt silny mróz, albo zawiejkę śnieżną, lub też wielki wód wylew. Kiedy jednakże który z nich miał ważne zlecenie do przeniesienia, wynajdywali sobie pomiędzy ludem zawsze przychylnym każdemu dziadowi taką pomoc, że pomimo wzburzonych żywiołów przyrody, szli z niemi w zapasy.

Rozgłosny był wypadek w r. 1808 sieroty młodej, pięknej i bogatej panny *Ewy W**, w którym dziad żebraczy przeważną odegrał rolę.

Gerwazy Rad... dawny palestrant, który już dwie żony pochował, dobrze podsiwiał, ale czerstwy i krzepki, objął opiekę nad osieroconą młodą Ewunią rok siedemnasty życia liczącą. Zaraz po śmierci jej rodziców, w jej dworze się rozgościł i stale zamieszkał. Zuchwały i odważny, znany z licznych pojedynków w Trybunale Lubelskim, przy którym od lat młodych bawił jako *palestrant*, poodsadzał wszystkich zalotników od swej pupilki, a tego którego kochała młodego *Wojciecha D**, wyzawszy na szable, dobrze obciął, lubo i sam nie bez kresy wyszedł z tak gorącego starcia, bo i pan Wojciech był gracz nie lada. — Zamknął mu dom, zerwał wszelkie stosunki z sąsiedztwem, obsadził dwór cały czujną strażą, a tymczasem sprowadził swoją siostrę starą intrygantkę do pomocy, aby ułatwić sobie pociągnięcie przed ołtarz smutnej ofiary — przykuć Ewunię do siebie, i piękny majątek zagarnąć.

*Wojciech D** leczył się z ciężkich ran, jakie odebrał: ratunku nieść swej narzeczonej nie potrafił, trzebaby chyba było zebrać drużynę zbrojną, napasć i przemocą wyrwać sierotę ze szponów drapieżnych opiekuna. — Żłota nie żałował, bo miał go pod dostatkiem i rozległe familijne stosunki z najpierwszemi rodzinami. W rozpacz przyszedł mu w pomoc stary poczciwy żyd arendarz, który w dobrach jego już czwartem czy piątym pokoleniem był osiedlony. Ten mu naraił zbawcę.

Kiedy robiono wcześniej przygotowania do godów weselnych we dworze, który zamieszkiwał pan Gerwazy, gdy on sam co chwila niecierpliwie oczekiwał *Indultu* do ślubu z Warszawy, pojawił się nad wieczorem dziad żebraczy siwy *Piotr* z przydomkiem *Kogut*, bo piał tak doskonale, że poruszał ptaki same do wtórowania.

Pan Gerwazy znał Piotra oddawna, nie miał najmniejszego nań podejrzenia, albowiem sam go używał do tajnych zleceń, które jak najwierniej zawsze wykonywał. Za pojawieniem się żebraka, przywołał go do swej komnaty, dał mu parę bitych talarów i wypytował z cicha, co słyhać o młodym panu Wojciechu D* i co on robić zamysła? Dziad, opowiedział mu szczegółowo stan jego zdrowia i rozpacz, oraz zupełną niemoc do wszelkiego cziałania. Pan Gerwazy, nie tając swej radości, gładził szpakowatą czuprynę, podkręcał wasy w górę, zacierał ręce; gdy zaś Piotr skarżył się na utrudzenie po dalekiej drodze, zaprosił go na nocleg i suto uraczył. Sam, uszczęśliwiony, snem twardym a smaczny spokojnie odpoczywał.

Noc była ciemna, wichura dał przeraźliwie, księżyc czasami zaledwie się pokazał, zaraz bałwanami czarnych chmur pokryty, promykiem słabym nawet nie przyświecał.

Po północy, usłyszał palestrant szczenie dużych kundli, po tem zdało mu się że słyzy jakieś wrzaskliwe skomlenie, ale był pewny, że to pogwiżdzywał wichura.

Rano jeszcze spoczywał w łożu, gdy wierny jego sługa wpadł blady i zaledwie mógł przemówić...

— Ukradziono nam pannę!...

W oka mgnieniu pan Gerwazy był już na koniu, zebrał zbrojną drużynę, wypadł na gościniec, rozstawszy po bocznych drogach liczną służbę. Po trzech dniach daremnych trudów i poszukiwań, wściekły i zbolaty wrócił, nie pochwycawszy nawet żadnej pewnej wieści.

Na domiar jego niedoli w Warszawie odmówiono mu indultu; otrzymał nadto zapozew sądowy do zdania opieki nad Ewunią, najbliższemu jej krewnemu.

Pan Gerwazy w zgrzyotach swoich zaczął śledzić we dworze winnych; pokazało się że najzjadlejszy kundys leżał zduszony pod płotem, a dziad *Kogut*

¹⁾ Z powodu tych biczków, powstało u ludu naszego przysłowie, doskonale myśl zasadniczą malujące: „Rozpuścił się jak dziadowski bicz”, zastosowane do rozpustników i hulaków niepościągłych.

zniknął tej nocy bez śladu, i w całej okolicy, którą zajmował ani słycho o nim. Jakoż później okazało się że dziad Piotr przejęty niedolą sieroty, od której rodziców wiele łask doznał, zrećźnie doręczył jej liścik od pana Wojciecha, w którym zaklinał ją ażeby z całą ufnością powierzyła się jego przyjacielowi jednemu, jakiego mu Bóg zesłał w tym dziedzie żebraczym.

Nie było chwili do stracenia; Ewunia zabrała klejnoty po matce, przez okno wydostała się do ogrodu. Piotr obwinawszy się w szal turecki, porwał ją jak dziecię i przeniósł najprzód w pobliską dąbrowę, a ztąd gęstym borem w umówione miejsce, gdzie ciotka pana Wojciecha oczekiwała w karcieci, mając do obrony grono dzielnej a zbrojnej młodzieży, z krewnych i przyjaciół zebrane.

Piotr przeprowadził ich tak zrećźnie znanymi sobie dróżkami, że nigdzie nie spotkano się z pogonią Gerwazego.

Wprost też odwieziono Ewunię do Warszawy pod obronę najbliższego z jej krewnych, który pozwy już wydał zuchwałemu palestrantowi.

Rozgłoszony ucisk sieroty z rodziny powszechnie szanowanej, wywołał ogólne w całej okolicy oburzenie. Zebrani sąsiedzi i przyjaciele w silny zastęp, wjechali tłumnie a zbrojno na podwórzec dworski, a gdy Gerwazy chciał się bronić, przemocą wtargnąwszy, służbę jego całą powiązali i sąd doraźny nad nim złożyli.

Wtedy jako główny oskarżyciel i świadek niedoli biednej sieroty, stanął dziad Piotr, na którego skrepowany Gerwazy wściekłymi spoglądał oczyma; ale ten nie zmieszany, wszystko wiernie i szczegółowo opowiedział, żądając surowej kary w imieniu sieroty za jej ucisk i cierpienia.

Wyrok był jednomyślny: karę stu plag bez dywanu na środku podwórza, w obliczu całej służby i domowników wykonano, poczem jęczącego z bólu i bezwładnego Gerwazego wywieziono do blizkiego miasteczka.

Najpoważniejszy wiekiem z sąsiednich obywateli objął zarząd całego majątku aż do powrotu samej młodej dziedziczki.

Tymczasem pan Wojciech z ran od cięcia szabli wydobrzył, a przybywszy do Warszawy, mając wszystkie ułatwienie, ślub wziął ze swą narzeczoną i w dni kilka, oboje zjechali do pustego dworu Ewunii.

Wszyscy sąsiedzi, którzy dopomogli do wypędzenia palestranta, oczekiwali państwa młodych, a gdy do stołu znać dano i całe liczne grono obecnych zasiadło w wielkiej sali i w dwóch przybočných obszernych komnatach, obok państwa młodych z jednej strony zasiadł miejscowy pleban, z drugiej pomieszczono dziada *Piotra Koguta*, prawdziwego zbawcę sieroty, który porzuciwszy kij żebraczy, żył już odtąd dostatnio i wygodnie w tym dworze na łaskawym chlebie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA O JANASZU KORCZAKU I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Nikita głową kręcił...—Ale czy to, proszę pułkownika, ozwał się po chwili — czy to istotnie może być, żeby ten łotr... Czy to może być?

— To nietylko może być, ale niezawodnie będzie—począł Duleba. Trzeba znać Dorszaka i Tatarów.

— A nie lepiejby było zabrawszy się uchodzić? spytał Nikita.

— Z choremi? w dziesięciu czy piętnastu zdrowych, żeby was na drodze napadli?—mówił pułko-

wnik. Myślicie że on tu, na zamku i w miasteczku szpiegów nie ma? że mu nie doniosą?

— Wyrzucić baby i parobków jego—rzekł Nikita—i to nie czekając.

— Baby strzedz, a parobków wygnąć dziś, czy nie, to nic nie pomoże. Na dziś pilniejsza rzecz—żywność na zamek sprowadzić i most przygotować.

Duleba kończył, gdy Miecznikowa weszła powolnym krokiem. Przed kilką chwilami już stała u progu słuchając rozmowy. Na twarzy jej nie widać było całej obawy, ale smutek i powagę wielką.

— Wszystkom słyszała—odezwała się wchodząc. —Mój Nikito, póki Janaszek nie wyzdrowieje, ty nas broń. Dworski z uniesieniem rękę pani pochwycił i do ust poniósł.

— Niech jasna pani będzie spokojna. Bóg łaskaw — rzekł głosem wrzuszonym. Kiedy on nas dziś wyrwał z takiego niebezpieczeństwa, nie da nam zginać marnie. Ja póki starczę rozumem, pociągnę, a zabraknie, przyjdę po radę.

— Ja spać nie myślę się kłaść—odezwał się Duleba—bywaj z raportem, będziemy radzili.

— Bóg cię nam zesłał, pułkowniku!—rzekła Miecznikowa.

— Niech pani spocznie spokojną, proszę bardzo, trzeba sił i na jutro, mówił Duleba, e! jakoś to będzie. I zbliżył się, aby Miecznikową w rękę pocałować.

— Tylko spokojnie—dodał.

— O nas się nie lękajcie — odpowiedziała Miecznikowa, myśmy obie natury męskiej dosyć, a jeśliśmy dziś ze strachu nie pomarli, już nas nie pewno nie ułknie. Najboleśniej mi tylko, że z mojej przyczyny, cierpi Jadzia, ludzi tylu.—Janaszek.

— Nie trzeba go pieścić—podechwycił pułkownik, cieszyć się powinien, że taka mu się gratka trafiła, i wyszedł z niej mało co naszpikowany. To mu na zdrowie wyjdzie i na sławę. Dzielnym chłopiec—ale go pieścić—to go popsuć.

Miecznikowa westchnęła.

— Mój pułkowniku, odezwała się nieśmiało—nie gniewajcie się na mnie,

— Ale? za co?

— Coś pragnę uczynić, coście powinni dobrem sercem przyjąć, dokończyła. Winnam wam życie moje i córki jedynaczki i moich wszystkich. My o was pókiśmy żywe nie zapomniemy, ale my przedko... chcę wam ofiarować pamiątkę. Zachnął się Duleba.

— Mościa dobrodziejo — prysnął. Ja zasuszony żołnierz stary... ja... tego... żadnych pamiątek nie potrzebuje, żeby szczęścia nie zapomnieć. A toż było istne błogosławieństwo Boże. Ale pfe! ale pfe! rękami obiema, jakby odpędzał coś natrętnego, machając Dulebą.

Miecznikowa stała i z pod chustki drżącą ręką dobywała — karabelę. Oczy pułkownika padły na nią, i przestał się opędzać.

Karabela była stara, z pozoru można się było domyślać, że klingę miała turecką. Oprawa była złocista czy złota, ale prosta i nie wytworna.

— Jak mi Bóg miły! Karabela, ale zkądże?

— Umyślnie dla was się tu znalazła.

— Ale nie, nie przyjmę, nie — począł oczyma ją ścisnąć Duleba—tylko proszę pokazać.

Była to stara szabla znaleźiona w skrzyni na zamku. Ten co ją składał tam, dobrze wymaścił oliwą, tak że nie nie zardzawiała, a odczyszczona świeciła jak srebrna. Dobyta klingę oparł Duleba o podłogę, zgięła się w kablak i wyprostowała drżąc; świeciły mu oczy do niej.

— Musisz ją wiaść pułkowniku! nalegała gospodyn.

Duleba w milczeniu schował do pochwy i westchnął.

— Nie mogę.

— Czemu?

— Czemu? przesądny jestem: żelazo przyjaźń rozcina.

— Karabela doskonała, apetyt do niej nie mniejszy, ale — nie mogę.

— Daj mi pół tynfa za nią! rozsmiała się Miecznikowa.

— A no — zgoda, rumeniąc się rzekł Duleba, i zrobił ruch jakby sakwy szukał, chociaż wiedział dobrze, iż próżną znajdzie. Nie miał i pół tynfa w kieszeni. Wstyd mu było. Wymówił się, że kieskę zgubił znać po drodze.

— Dam na kredyt, śmiejąc się, prędko dorzuciła Miecznikowa.

Pocałował znów piękną rączkę Duleba, ale przypomniawszy sobie obowiązek, schwyił za czapkę, którą miał w kieszeni, bo misiurkę dawno zdjął—i poszedł po zamku szukać Nikity. Chcąc nazajutrz odjechać rano, aby ludzi przysłać na posiłek, musiał z nocy korzystać.

Pomimo znużenia nikt na dole nie spał. Cześć czeladzi gwarzyła o wypadkach dnia dzisiejszego w sklepionej izbie w wnijścia, reszta się uwijała pod murami, koło koni, opatrując otwory, obwarowując bramę.—Nikita był w podwórzu. Duleba go znalazł w rogu pilno nastawiającego ucha.

— Co to jest?—zapytał.

— Kto jego wie, cicho rzekł Nikita—albo tu dusza pokutuje—albo ja już nie rozumiem nic.

— Gdzie?

— Tu — aby stąpić, słyhać jęczenie i stuk.

Pułkownik nie był zbyt łatwowiernym; wierzył w duchy, ale gorzej się obawiał zdrady i Dorszaka. Stanęli słuchać. Jęk się z pod ziemi dobywał głuchy. Duleba położył się na kamieniach i ucho przycisnął do nich. Wstał po chwili i rzekł:

— Coś siedzi. Musi to być loch, a w lochu, bodaj, nie kto zamknięty. Gdy tak gwarzą pomieszani, spojrzeli, pod murem gryząc fartuszek w zębach stała mała Horpynka. Dziewczę miało twarz przestraszona jakąś i całe wiotko drżące. Białe to widmo z początku ich też przeraziło.

— Czego ten tu szurgot się włóczy! Krzyknął Duleba—co ty tu robisz? Szpiegujesz? he? to pewno ze dworu Dorszaka.

Popatrzył Nikita. — A no—ale to biedne zahukane stworzenie. I odezwał się do niej:—Idź ty sobie ztąd! po coś tu przysła, po co, ruszaj pókiś cała!

Dziewczę stało gryząc koniec fartucha, widocznie mówić coś chciała i nie śmiała. Na pułkownika rzuciła przestraszony wzrok, to znowu na Nikitę. Dopatrzawszy chwili, gdy na nią Duleba nie spoglądał, skinęła na Nikitę. Ten się zbliżył. Musiał się aż pochylić do jej ust, bo chłop był jak dąb a dziewczę małe i drobne.

— To ona tam jęczy! to ona! Jak Bóg miły!

— Kto? zapytał Nikita.

Dziewczę oczy spuściło i zamilkło i gryzło fartuszek znowu.

— E! toż wiecie! szepnęła i obejrzała się. Pan uciekł, to wy ją powinni uwolnić.

— Ale kogo?

Dziewczę znowu milczało; Duleba zdziwiony czekał aż się skończą te szepty.

— Co ty się tam durzysz z tem dzieckiem, przerał, szkoda czasu.

Nikita nie słuchał.

— Mów—kogo?

— Panią! panią wrzucili do lochu! Tatiana! On kazał! Tatiana! Tatiana! powtórzyła kilka razy, zakryła sobie oczy i chyłkiem pod murem, jakby się zlekła tego, co powiedziała, biedz poczęła ku bramie, przychyliła się, popełnęła pod nią jak kot i znikła.

Nikita stał myśląc.—Dziewczyna powiada—odezwał się do pułkownika, że Dorszak tam żonę trzyma zamkniętą.

Duleba zaledwie tu usłyszawszy, za rękę go konwulsyjnie pochwycił.

— Gdzie! jak! człowiecze! Gdybym miał karku nadkręcić, ja ją uwolnić muszę, prowadź! którądy?

Nikita nie już nie mówiąc, rzucił się do bramy, pułkownik za nim. Trząśł się cały.

— Infamis! rozbójnik! łotr! powtarzał—dajcie mi go w ręce, na moją odpowiedzialność — na gałąź! na gałąź!

Obiegłszy dom za bramą do koła, bo Duleba nie szedł, ale leciał gniewny, wpadli na ganek i po wschodach na górę.

Drzwi były ze środka zamknięte. Poczęli stukać i dobijać się mocno. Zrazu grobowa im cisza odpowiadała, dopiero gdy we dwu poczęli drzwi wysadzać, kroki się słyszeć dały. — Kto tam?

— Otwierać! krzyknął Duleba.

W zamku odezwał się klucz i na progu pokazała się tłusta owa Tatiana z ogarkiem w rękę. Dzikiem wejrzeniem zmierzyla wchodzących. Twarz jej zwierzęco obojętna, a razem chytra, oświecona blaskiem światła, które ręka zasłaniała, pełna była i gniewu hamowanego i trwogi.

— Gdzie twoja pani? krzyknął Duleba przystępując.

— Albo ja wiem, pojechała z pozorną obojętnością—poczęła kobieta—co ja wiedzieć mogę.

— Kłamiesz wtrącił Nikita.

Kobieta zbladła i chciała odchodzić; Duleba żelazną dłoń położył jej na ramieniu.

— Mów!—zawołał—lub z życiem nie wyjdiesz. Bierz klucze i prowadź.

— Zamknęłaś ją do lochu z rozkazu pana—rzekł Nikita.—Kobiecie drgnął ogarek w rękę, krzyknęła, z za ramienia odwróciła się ku Dulebie.

— Co wam do jego żony! co wam do niej! Ona się z nożem do niego rzuciła, to wściekła, ona szalona. To ich sprawa nie wasza, a on się pomści. Jej puszczać nie można!

— Prowadź, nie gadaj—zawołał Duleba—natychmiast.

Tatiana chciała się im wyrwać z rąk, ale z drugiej strony chwycił ją Nikita i wyrwała się naprzód.... Ogarek potoczył się na ziemię, ale nie zagwał szczęściem, i Duleba go jedną ręką podjął zrzecznie. Obląkanemi oczyma rzucając naprzód do koła, jakby ratunku szukała, Tatiana płakać zaczęła ze złości.

Duleba wołał: prowadź.

— Puście mnie wolno!—zawołała w końcu jakby z rozpaczą.

Pułkownikowi tak szło o uwolnienie nieszczęśliwej kobiety, iż natychmiast wykrzyknął.

— Puszczę, gdy ją znajdziemy.

— Klnij się na Boga!—zawołała Tatiana.

— Klnę się na Boga.

— Na Tróję.

To naleganie byłoby powinno zrodzić podejrzenie w pułkowniku, lecz się zapalił tak losem więziennej, że na nie nie zważał i przysięgał.

Kazała mu powtórzyć przysięgę Tatiana i dopiero się ruszyła.

Nie puszczając jej z rąk szli niemi przez izbę naprzód, w której jeszcze szafa stała otworem od ucieczki Dorszaka, a u okna robota jego żony i jedwabie rzucone bezładnie—potem przez sypialnię pustą, przez sieni, z której wschody wiodły w dół, do zamkniętego lochu. Gdy się drzwi jego otworzyły, Tatiana drżąc poczęła, wskazała ręką—tam.

— Prowadź! nalegał Duleba.

Szli znowu po wschodach. Loch był pusty. Tatiana spodziewała się może wyrwać, uciec i drzwi za sobą zatrzasnąć, bo ich milcząc obwiodła po pustych lochach. Tu śladu nie było, ani głosu żadnego nie słyhać. Pułkownik zaczął żelaznymi rękami cisnąć ją tak, że Tatiana z bólu syknęła. Zaczęła jęczeć i płakać. Stali w lochu, którego środek zajmował kamień z uchem żelaznym, wskazała go nogą....

W chwili, gdy Nikita się schylał, aby go podnieść, Tatiana szarpnęła się chcąc uciekać, ale Duleba oburącz ją porwawszy, zgniótł tak, że na ziemię upadła.

Wiekło podniosło się lekko... małe wschodki w dół się kreciły.

— Krzyknij! wołaj! odezwał się Duleba. Nikita pochylał się nad czarnym otworem i począł hukac jak w lesie.... Chwila upłynęła w milczeniu. Zdało im się, że posłyszeli szelest. Tatiana drżała cała.... Głos bolesny odezwał się z głębi.

Nikita wołał ciągle. Czekali. Błada, wynędzniała, zmieniona twarz, z obląkanemi oczyma pokazała się nad otworem, włosy poplątane spadały jej na ramiona okryte chustką zbrukana. Na widok tego widma, Duleba krzyknął, Tatiana zakryła sobie oczy, jakby się skryć chciała....

Nikita rękę podawał.

— Niech pani wychodzi—rzekł—i nie boi się Dorszaka niema.... uciekł.... Jakby nierozumiejąc jeszcze i nie poznając nikogo, wodziła ciągle oczyma po nich kobieta, podniosła rękę wychudłą, przetarła powieki. Stała, nieśmiała iść dalej. Czy sił jej brakło?... Nikita niemal gwałtem chwyciwszy ją za ręce wyciągnął milczącą, osłupiałą do górnego lochu.... Stała tu, wpatrując się w Dulebę jakby go rozpoznać chciała a nie mogła. Dostrzegła Tatianę i cofnęła się z trwogą.

— To ona, to mój kat—zawołała.

— Jam niewinna.... jęczała Tatiana—ja sługa.

— Wychodźmy z lochu! zawołał Duleba głosem, który słysząc zadrżała kobieta i poczęła się przypatrywać jeszcze baczniej. Nie puszczając Ta-

tiany w obawie jakiej zdrady, pchnął ją przed sobą Duleba. Mileząc wydobyli się z lochu na wschody. Kobieta próbowała się wyrwać pułkownikowi rąk kilka, na próżno. Dopiero gdy stanęli w izbach mieszkalnych, a Dorszakowa padła na poduszki, Duleba zapomniał o Tatianie i puścił ją. Nim się opatrzyli, rzuciła się ku drzwiom i znikła.

Duleba z politowaniem niewysłowionem wpatrywał się w tę piękność, która go niegdyś zachwycała.

— Pani mnie nie poznałaś—rzekł—a jam to ten nieszczęśliwy Duleba....

— Gdzież ten człowiek? gdzie ta kobieta? dlaczego wy tu jesteście?

Trudno było razem na wszystkie odpowiedzieć pytania. Uspokojono ją najprzód, że męża się nie ma co obawiać, a Tatiana jego powiernica i prawa ręka, pewnie uciec musiała. Zaczęła płakać. Siadł przy niej pułkownik i chwilę tak na łzy jej patrzył nie mówiąc nic. Nikita zawołał tymczasem do posługi Horpynkę, która pani do nóg płacząc upadła i zostawił ich—sam śpiesząc do mostu i do miasta.

Nie było chwili do stracenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZEPCHNIĘTY W DÓŁ

(przekład z angielskiego).

(Dokończenie).

Kilkodniowy wypoczynek nie wrócił sił biednemu inwalidzie. Na zapytanie uczynione mu z biura, kiedy spodziewać się można jego powrotu do pracy? nie odpowiedział piśmiennie, ale sam poszedł do banku, do gabinetu bankiera Browna. Powiedział, że nie ma już nadziei, aby mógł pracować kiedy.— Nie mam już sił—rzekł—stargały się i przepadły.

Bankier był człowiekiem zupełnie starym, z siwemi oddawna włosami, to też oburknął się na te słowa.— Cóż znowu, sir! zawołał—w twoim wieku nie rozpoczyna się jeszcze starość.... Toż ja jeszcze mogę pracować.

— Ale nie tak jak ja pracować musiałem—odparł Marks z goryczą.—Zmęczyłem się śmiertelnie i czuję już, że wszystko się skończyło.

Stary Brown patrzył na niego.—Przecież miewałeś pan odpoczynki, przypominam sobie, że niedawno, weszłym roku brałeś urlop i wyjeżdżałeś na wieś do rodziny.

— Na dwa tygodnie—odrzekł Marks i poprosił o uwolnienie. Bankierowi było widać trochę markotno. Dowodził, że nie ma potrzeby się z tem spieszyć, że mógłby znowu wyjechać na parę tygodni na wieś lub nad morze, a wtedy zobaczyłoby się. Gdy przecież Marks powiedział, jaki jest przepis doktora, gdy wspomniał o całym roku odpoczynku, zmienił ton i przestał nalegać.—Cóż jednak sir, stanie się z tobą i rodziną, jeżeli nie będziesz pracował? zapytał w końcu.

— Jest to pytanie, na które nie umiem odpowiedzieć nawet sobie—rzekł Jakub Marks ze smutną powagą. A przecież myślę o tem aż nadto—dodał.

Bankier Brown kazał mu wypłacić całomiesięczną pensję, a sposobem gratyfikacji dołożył jeszcze dziesięć funtów.

Właśnie w tym czasie przyjechałem do Londynu. Esquire Todhetley kazał mi koniecznie być na Pemlico, pani Mateuszowa dała cały pakunek wiejskich przysmaków dla zaopatrzenia spiżarni Marksów i łatwo dom ich znalazłem, niedochodząc do Ebury-Street. Mały chłopezyk drzwi mi otworzył i domyśliłem się, że to jest starszy synek, Willy.—Papa chory—rzekł mi prowadząc do parloaru. Mama w kuchni gotuje mi araroot.... Nie byłbym nigdy poznał biedaka, do którego mnie zaprowadzono; siedział w fotelu, ubrany wprawdzie, ale owinięty z wierzchu szalem. Był to już nie człowiek, ale żywy szkielec; w twarzy świeciły jedynie oczy, głęboko zapadłe; doznałem na ten widok tak bolesnego ścisnięcia, tak się zmieszałem, że nie mógł przemówić odrazu. Może mnie zrozumiał, bo przywitawszy rzekł:—Zmieniłem się od czasu naszego

widzenia. Już teraz nie starość, ale śmierć mnie chwytą.

Odpowiedziałem jakimś zwykłym pocieszającym frazesem, na który potrząsnął głową.—Znam, Janku, mój stan—odparł. Porzuciłem już służbę.

Nie mogłem wstrzymać słów, które się gwałtem na usta wyrwały.—Ach! sir, dlaczego tego nie zrobił przed rokiem? zawołałem:—Gdybyś był wtedy został u nas....

— Nie mogłem—odparł spokojnie. Rok jeszcze przeżywiłem moją rodzinę. Był to obowiązek który spełniłem.

Chcąc zapewne zwrócić rozmowę na inny przedmiot, zaczął mi opowiadać jak w styczniu się zaziębił i dostał zapalenia płuc, z których ledwo wyszedł. W lutym musiał porzucić pracę i znów potem przyszło nowe zapalenie płuc, które ostatecznie z nóg go zważyło.

— Z ciepłą porą kaszel ustąpi—poszepnąłem.

— Ciepła pora nie wleje przecież życia tam, gdzie go niema—odparł. Ach! dodał—przeszlonośćną wiosnę miałem piękną. Z łaski was, pocziwych ludzi, zobaczyłem znów świat mojej młodości i teraz jeszcze, siedząc tu przy kominku, marzę nieraz o widzianych obrazach.... Ach, jakie śliczne macie łąki!... A i żyzne bardzo.... Niezmiernie wonne musi być z nich siano. Esquire ma bardzo piękną rasmę bydła....

Miałem w sobie duszę wieśniaka—ozwał się po chwili.—Bóg stworzył mnie do życia na wsi, wśród pól, łąk, lasów, na ożywczym słońca promieniach. Kochałem naturę i jej piękno odczuwałem zawsze bardzo żywo. Powinienem być może trzymać się wsi, stworzyć tam sobie pracę jakąkolwiek.... Czasem przychodzi mi na myśl, że mój może zmarnował życie....

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Dusilo mnie w gardle i lękałem się zapłakać jak dziecko. Ale jemu widać było potrzeba pomówić z kimś, do kogo mógł mówić otwarcie jak do biednej żony. Przytem byłem z tego świata, który on nazywał „światem swojej młodości“, i dlatego zapewne mówił ze mną o tem, o czem nie mówiłby z innemi. Widziałem, że samo zobaczenie mnie zrobiło mu przyjemność, przynosiłem z sobą woń tej natury wiejskiej, która pociągała go jeszcze słodkimi wspomnieniami.

Patrzył w kominek, zamyślony, ale po chwili zwracając na mnie oczy, które zdawały się teraz jeszcze większe, rzekł.—Nie mogę przecież powiedzieć, aby los traktował mnie gorzej od wielu innych. Nie Janku, jest mnóstwo, ogromne mnóstwo ludzi, których życie bierze tak jak mnie w jednostajny stępek pracy, nie dając im stosownego odpoczynku. Potrzebuje go nie tylko ciało: trzeba odpoczynku i duszy, trzeba trochę różnaitości, wrażeń nowych, których tacy biedacy nie mają nigdy i to ich zabija. Padają też tak jak ja: weześniej, później, ale padają podobnie złamani. Szczęśliwi jeszcze, jeżeli przytem serce im nie farga się ciągle w piersi niepokojem o tych, których się zostawia za sobą na świecie....

Ozulem, że jego serce tak się targa, lecz on rzekł:—Zaczynają mnie przecież coraz mniej zajmować te wszystkie troski życia. Może się staję zbyt słabym, aby już czuć coś gorąco, ale zaczyna zwolna zstępować na mnie jakieś uspokojenie ciche. Zdają się spełniać na mnie słowa Chrystusowe:—„Wy wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, chodźcie do mnie, a dam wam odpoczynek!....“

Zona weszła w tej chwili z filiżanką ararootu, a on umilkł i tylko uśmiechnął się do niej łagodnie. Wiedziała już kto jestem, bo Willy pobiegł do niej do kuchni i powiedział o mojej bytności. Miła i widocznie dobra kobieta, miała to przyjemne obejście, które od razu przyciąga i czyni stosunek łatwym. Gdy studziła pożywienie dla męża, zapytałem jej:—Ostatnie zapalenie musiało być bardzo silnem?.... Musiał narazić się nieuważnie....

— Zaziębił się wracając z banku, w dniu gdy się podał do uwolnienia—odrzekła kobieta smutnie.—Była pogoda, gdy wychodził, ale potem puścił się deszcz i padał ogromny, gdy wychodził z banku, kamienie były zalane. Powinien był wziąć dorożkę, ale z oszczędności czekał na omnibus. Nim się doczekał, przemokł i zaziębił się, nastąpiła recydywa zapalenia płuc, jakie miał w zimie....

Gdym odchodził, chory prosił mnie, abym przyszedł kiedy na czas dłuższy i został u nich na her-

bacie. Obiecałem i miałem chęć dotrzymać obietnicy za dni parę, ale miasto tak chwytła ludzi przyjezdnych tysiącem spraw rozmaitych! Upłynął przeszło tydzień, nim zdołałem zdobyć sobie czas na tę smutną herbatę. Dzień był chłodny, wietrzny, wieczór zapadł posepnie, ale u nich w domu było cicho i spokojnie. Przyjęła mnie p. Karolina dziękując bardzo, żem przyszedł.—Dobry czas wybrałeś sir—rzekła.—Jedną z naszych pocziwych sąsiadek zabrała do siebie dzieci na wieczór i będzie trochę spokojniej niż zwykle. Jakubowi jest gorzej?

— Jaktol!—rzekłem.—Znów płuca dotknęte?

— Nie — odparła — ale słaby bardzo. Codziennie słabszy. Położył się na sofie przed godziną i zasnął. Już nie może siedzieć długo w krześle.... Czekam z herbatą, aż się obudzi.

Obudził się wkrótce i kaszel dał o tem znać. Żona zaraz poszła do niego i wkrótce wyszedł do mnie. Istotnie był wiele gorzej. Poprzednio zdawał mi się szkieletem, teraz już cieniem, który wraca po śmierci na ziemię. — Ach, Janku — rzekł ucieszony widocznie — jakżeś pocziwy, że przypomniałeś sobie o nas. Liczyłem na to przecież i zawsze mówiłem do żony: zobaczysz, że nie zapomni, że przyjdzie.

Siedliśmy do herbaty i opowiadałem mu z umysłu o różnych sprawach, które mnie trzymały w Londynie. Był to „świat jego młodości.“ Opowiadałem mu jak kuzynka esquirea Todhetley, lady Whitley przywiozła do Londynu młodszego syna, aby go umieścić w Dragonach królowej, jak prezentowała u dworu swoją córkę. Tę znał, widział ją w Dyke-Manor, gdyż Helenka Whitley była niejako narzeczoną starszego syna esquirea Todhetley, Józefa. Mówiłem mu o tem małżeństwie i słuchał mnie z zajęciem, pytał czasem o coś, dowiadywał się jaką posiadłość Józef dostanie, ożeniwszy się? Wiedziałem że esquire odda im pewno Crabb-Nord i powiedziałem mu o tem. Słuchając zjadł odrobine cieniutki grzaneczki i wypił trzy filiżanki herbaty. Doktor pozwalał mu, a on miewał zwykle wielkie na herbatę pragnienie.

Po herbacie schwyił go przecież wielki kaszel. Żona położyła go na sofie, a gdy wróciła do mnie, rzekłem: — Jest przynajmniej spokojny umysłem i nie upada bardzo na duchu.

— Tak — rzekła — wie przecież, że jest blizki końca, bo wczoraj mówił do dzieci, że choć jego nie będzie, Bóg zostanie ojcem sierot. — Ach! dodała — wie również, że środki nasze wyczerpną się wkrótce....

— Ach! zawołałem mimowoli — jakże musisz i pani cierpieć!...

Podniosła na mnie oczy i wstrzymała się z odpowiedzią, aby nie wybuchnąć płaczem, od którego zaczęły jej drżeć blade wargi. Teraz i ona była bardzo, bardzo zmieniona. Schudła przez ten tydzień.

Po chwili rzekła: — Modłę się do Boga o siłę, modłę się do Boga o wytrwałość. Powinnabym myśleć tylko o tym biedaku moim, który odchodzi, ale mimowoli myślę i o dzieciach.... Myślę — dodała z powstrzymywaną rozpaczą — myślę dzień i noc!...

Zacisnęła usta chustką, aby nie łkać głośno, gdy w tym zapukano moeno do drzwi na dole i zerwała się. — Ach! jakie to dzieci nieuważne, zawołała. — Wracają tak hałaśliwie, jak gdyby do szczęśliwego domu. Zapaliła świecę, aby isć otworzyć, ale wyręczyłem ją. Otworzyłem drzwi z zamiarem karzących słów dla małego Willy, gdy w tym wysoki, siwy, błąd mężczyzna wpadł, jakby przypędził go wiatr i deszcz bijący w tej chwili o ściany. — Gdzie jest mistress Marks? — zapytał prędko — moja córka mistress Marks?

Mówił głośno i córka wybiegła do niego. — Papa! zawołała, a on ją schwyił za rękę. — Karolino! — rzekł — tanta nie żyje!...

— Kto, kto nie żyje, papo?

— Moja żona — odparł wolniejszym, więcej umiarkowanym głosem. Przed tygodniem miała niespodziewane uderzenie krwi do głowy, dziś atak się powtó-

rzył i umarła. Uciekłem z domu — dodał — przychodzę do ciebie Karolino i przyjmij mnie. Już się nie rozdzielimy.

Może kobieta matka uczuła w tej chwili, że przyszłość jej dzieci staje się nagle zapewnioną, bo zakryła oczy i stała tak w milezeniu przez minutę, lub dwie.

— Twój mąż, Karolino, będzie mógł mieć teraz trochę odpoczynku — rzekł ojciec do córki z pewną nieśmiałością w głosie.

Ona podniosła głowę ruchem dumnym: — Już zapóźno, papo — rzekła smutnie.

Było istotnie już zapóźno: Jakub Marks umarł w maju.

NA WSCHODZIE,

USTĘP Z WYCIECZKI NAD AMUR

Napisał S. Maksimow.

Handel herbatą.

Za panowania cara Iwana Groźnego, gdy po zdobyciu dwóch carstw tatarskich, dzięki usiłowaniu kozaka Ermaka Timofiejewicza podbitą została odległa Syberya, przedsięwzięto pierwsze kroki w celu zawiązania stosunków między Rosyją i Chinami. W roku 1567 dwaj atamani kozacy, Iwan Petrow i Burnin Jałyczew, wysłani dla zebrania wiadomości o okolicach syberyjskich, uprzednio nieznanych, do stali się do Pekinu. Przebywając czas jakiś w okolicach nad Bajkałem leżących i w Mongolii atamani kozacy opisać je, lecz w Pekinie wszystkie starania ich dla zebrania wiadomości potrzebnych bez skutku pozostały. Ponieważ nie mieli za sobą podarunków, Chińczycy przeto nie chcieli ich ani słuchać, ani lepiej przyjąć i tym razem zamiar zawiązania stosunków spełził na niczem. Szczęśliwiej powiodło się nowym przybyzszom z Rosyji, gdy zdobycie Syberyi obszerniejszych dosięgło rozmiarów i ustaliło się, a tym sposobem dzięki położeniu geograficznemu zyskano możność zbliżenia się z Mandżurami i Mongolami. Poczęły się te stosunki łatwo na podstawie wzajemnych podarunków między władzami rosyjskimi i chińskimi, oraz handlu zamiennego między pogranicznymi mieszkańcami obu krajów. Wszystko to działo się bez żadnego współdziałania rządu rosyjskiego, w przeciągu lat 20, mianowicie do roku 1608 kiedy dla obrony interesów mieszkańców miejscowych potrzeba było uciec się koniecznie pod opiekę władz chińskich. Wtedy wojewodowie rosyjscy, idąc za przykładem Tomskiego, zaczęli wyprawiać karawany w imieniu rządu. Pierwsza karawana, wysłana z Tomska, razem z poselstwem powróciła, nie nie osiągnawszy. Drugie poselstwo wyprawione w osiem lat później r. 1616, spotkało to samo niepowodzenie. Następne lata, obejmujące przeciąg czasu od r. 1631—1649, zgubnie oddziały na niezawisłość Chińczyków. Państwo ich po olbrzymich politycznych przewrotach podpadło pod władzę sąsiedniego, na pół osiadłego i na pół koczowniczego plemienia Mandżurów. Najwyższym władcą (Bogdyhaem) został Mandżur Czun-dzi; rządami prowincyi i niższymi urzędnikami sami Mandżurowie. Okoliczności zmieniły się, lecz stały się jeszcze bardziej nieprzyjemnymi dla Rosyjan. Stosunki wznowiono, lecz wysłane poselstwa jedno ze drugim nie osiągały najmniejszego rezultatu i w zupełności chybiały celu. Niepowodzenie spotkało Bajkowa (r. 1654), który pojechał do Pekinu ze świtą, odezwą rządu (gramota) i podarunkami, lecz nie umiał, jak mówiono, zachować należycie ceremonii chińskich. Ten sam los spotkał Perfiljewa (r. 1658), Bucharcę Albina (1668 r.) i Greka Spafa-

rii (1675 r.) wysłanego w jedynym celu zawarcia traktatu handlowego. A w tym czasie, gdy skarb państwa rosyjskiego nie był w stanie zawiązać handlowych stosunków z Chinami, osoby prywatne pomysłnie prowadziły swoje interesa. Kupcy rosyjscy zdołali kilka razy dostać się do Urgi z futrami, przedostawali się w głąb Mongolii i ustępując towary za niższą cenę aniżeli karawany rządowe, tym sposobem wyrządzali skarbowi znaczne straty. Ażeby zapobiedz zgubnej dla skarbu konkurencyi, rząd biorąc na uwagę niewłaściwe postępowanie kupców rosyjskich w Mongolii, z początku zakazał im sprzedawania futer (1727 r.), a potem po upływie następnych jeszcze lat trzech (1730 r.) wyjazdów wszelkich do Mongolii zabronił. W roku 1755 wysłano do Chin ostatnią karawanę kupiecką.

W skutek zakazu rządowego kupcy rosyjscy postanowili za punkt główny swej działalności obrać Kiachę. Kupcy z Archangielska, Wołogdy, Moskwy, Tuły, Kazania, Tobolska i Irkucka utworzyli w r. 1792 pięć kompanii handlowych. Każda wybierała jednego pełnomocnika z pośród stowarzyszonych, nazwanego starostą. Starostowie określali ceny wszystkich towarów, zarówno chińskich jak i rosyjskich i oznaczali ile i jakiego gatunku towarów rosyjskich należy oddawać za pewną ilość przedmiotów chińskiego wyrobu.

Handel z Chinami od tego czasu był prowadzonym wedle zasad corocznie określanych przez starostów. A ponieważ ustawy obowiązujące stowarzyszonych kupców wytworzone zostały na podstawie wzajemnej ich ugody i tem samem nie stanowiły prawa dla wszystkich innych i przez tych ostatnich ciągle naruszane były, przeto rząd widział się w konieczności wejścia w tę sprawę i własnymi rozporządzeniami zapewnił moc wykonawczą ustawom kupieckim. Dnia 15 marca 1800 roku, wydał stosowne przepisy w celu uregulowania handlu w Kiachcie, które z niewielkimi zmianami istniały do r. 1854. Główne rozporządzenia były następujące: 1) handel powinien być zamiennym i obchodzić się bez kredytu; 2) wywóz monety złotej i srebrnej jest wzbronionym; 3) wszystkie towary mogące być wyprawdzonemi za granicę chińską, powinna świadczyć komora i przechowywać je aż do chwili wymiany w bazarze urzędowym w handlowej osadzie (to jest w Kiachcie); 4) corocznie przed czasem oznaczonym na uskutecznienie handlu zamiennego stowarzyszeni kupcy winni oznaczyć ceny towarów wedle przedstawionych prób i określić najniższą wartość, od której już żadne ustępstwo nie było dozwolonem.

Kiedy w obec takich niekorzystnych warunków i okoliczności rozpoczynał się handel chiński z powodu niepojęcia jego niezbędnych warunków ze strony Chińczyków dawno już toczono na niego nóż niemiędy ostry i prawie tego samego gatunku i formy. Poprzednio zanim władze rosyjskie wydały wyżej przytoczone rozporządzenie, wszyscy kupcy chińscy obowiązani zostali pod najsurowszemi karami do zachowywania następujących zasad komunikowanych im pod pieczęcią największej tajemnicy i dotychczas nawet nie zupełnie znanych wszystkim handlującym w Kiachcie. Dzięki szczęśliwej okoliczności powstałej z wysokiego zaufania i serdecznej przyjaźni, wypadkowo dostał się w ręce Rosyjan chiński oryginał instrukcyi majmaczyńskiej. Wyjawiający ją kupcom rosyjskim, wedle groźby zawartej w rozporządzeniu rządu chińskiego, ulegał karze śmierci lub zesłaniem był na wieczne wygnanie. Ktoby zaś opowiedział jeden z jej ustępów skazanym miał być na pełnienie obowiązków wioślarza na statkach zbożowych w przeciągu lat pięciu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: Sofonisba, tragedia, przekład Józefa Grajnera. — O powieści tegoczesnej, (dokończenie), przez Jana Zacharjasiewicza. — Niewiasta polska, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcieckiego. — Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Zepchnięty w dół, (dokończenie). — Na wschodzie przez S. Maksimowa.